

Eugeniusz Kurzawa

Spis treści (21)

(fragmenty)



Fot. Kazimierz Sobacki

Posiedzieliśmy w domu, potem odwiedziliśmy marszałka województwa Andrzeja Bocheńskiego i, jeśli dobrze pamiętam, także prezydenta miasta. Prezes był zdumiony, że jako oddział ZLP niczego od centralnego kierownictwa nie oczekujemy, a zwłaszcza pieniędzy. Wyjaśniłem, na czym polega nasz patent. Wśród członków mieliśmy pracownika lokalnego wymiaru sprawiedliwości, ówże zaś przyłapanym przestępcem serwował karę w postaci nawiązki na Związek. Jedyny problem, który miałem jako prezes oddziału, to konieczność pisania sprawozdań do sądów lub do policji z informacjami, że skazani wywiązali się z płatności.

Wspomniana wizyta Marka była pierwszą, lecz jedną z wielu, jakie nastąpiły w kolejnych dekadach. Nigdy nie było problemu z tym, żeby ojciec prezes, jak go nazywam (a on prostuje: wielebny ojciec prezes), nie znalazł czasu na udział w walnym zebraniu oddziału, w 50-leciu zielonogórskiego ZLP, w jury Nagrody im. A. Waśkiewicza, Lubuskim Wawrzynie Literackim i innych regionalnych wydarzeniach (jeździ za własne! choć poniekąd służbowo, ale tak – widać – traktuje służbę społeczną). Pewnego razu wybrał się do Zielonej Góry na uroczystość Nagrody Literackiej im. A. Waśkiewicza, gdy niespodziewanie chęć podróży wyraziła zaprzyjaźniona z Markiem Joanna Rawik. Przyjechali oboje ekspresem, odebrałem ich na dworcu w Świebodzinie, gdyż Joanna chciała zobaczyć Chrystusa świebodzińskiego. A wieczorem artystka wystąpiła na zakończenie naszej uroczystości literackiej. I tym sposobem impreza została wzbogacona dodatkowym walorem – monodramem o Edith Piaf. Bez Marka to by się nie udało!

Dzień wcześniej Joanna z Markiem przybyli do Ogrodu sztuk w Wilkanowie. Ona, jako autorka bardzo dobrze napisanych książek autobiograficznych „Muzyka życia”

(2013) i „Po co nam to było” (Warszawa 2017), on „jako osoba towarzysząca”, która przez cały wieczór opowiadała pyszne anegdoty. Skromna, ale dobrana publiczność Ogrodu sztuk była ukontentowana doborem autorów. Joanna rozdała wiele autografów, wpisała dedykacje, od mojej żony otrzymała rzeźbę anioła, który wciąż siedzi w warszawskim mieszkaniu piosenkarki na półce z książkami.

Widywaliśmy się z Markiem na wszystkich Zjazdach ZLP, na rozjazdach „gdzieś w Polsce”, byliśmy na świetnie przygotowanym wyjeździe literacko-plastycznym na Litwie (Nida, na Mierzei Kurońskiej), na Warszawskich Jesieniach Poezji lub poznańskim Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim. Zdarzało się, że ojciec prezes próbował „robić mi koło pióra”, stawiając w dziwnej sytuacji skonsternowanych gości, uczestników lub obserwatorów. Bo mi to akurat, hmm, wisało... O co idzie? Podczas Zjazdów ZLP od ćwierć wieku przypada mi funkcja tzw. asesora, czyli pomocnika przewodniczącego obrad. Podczas któregoś roku dyskusja zjazdowa tak mocno zoczyła z toru, a niesubordynacja delegatów sięgnęła zenitu, że mając w rękę narzędzie władzy, czyli mikrofon, wrzasnąłem na pchającą się do głosu bez uzgodnienia krakowską delegatkę. Uspokoiło się. Koniec tej sekwencji. Jakis czas potem jesteśmy we wspomnianej Nidzie na Litwie. Białorusini, Litwini, Polacy. Prezentacja uczestników. Ojciec prezes z kamienną twarzą mówi: – Eugeniusz Kurzawa, poeta itd. – bywa bardzo brutalny w stosunku do kobiet. Radzę na niego uważać. Tłumacze patrzą po sobie, cisza. To się parę razy w różnych sytuacjach powtórzyło... Zostałem brutalnym.

W teczce z listami zachowałem jedyny list od M. Wawrzekiwicza, red. naczelnego „Poezji”, nosi datę 6 VI 1988, napisany na firmówce czasopisma. Główna sprawa, jaka się przewija w treści, to publikacja utworów polskich poetów z Wileńszczyzny. Naczelny zapowiada: „Pańska prezentacja poetów polskich z Wilna ukaże się w numerze 11 lub 12. Będzie szkic oraz dość okrojona porcja wierszy. Mają one to do siebie – Jak Pan wie – że są słabe”. Sprawdzam roczniki „Poezji”, jest numer 11 z 1988 r., znajduję swój szkic pt. „Oby Noe przypadkiem nie zapomniał o mnie», czyli polska poezja na Wileńszczyźnie”. Obietnica spełniona. Był to okres kiedy walczyłem o promocję nad Odrą i Wisłą moich kolegów z kółka literackiego przy redakcji „Czerwonego Sztandaru” nad Wilią. Przy okazji któregoś wyjazdu za wschodnią granicę przywiozłem parę kilogramów wierszy, które następnie opatrywałem wstępem lub informacjami biograficznymi wilnian i rozsyłałem do znanych krajowych tytułów. Z zasady wszyscy redaktorzy brali i bez oporów publikowali te utwory, gdyż była to nowość, żeby nie powiedzieć: rarytas. Jedyny wyjątek stanowiła wrocławska „Odra”. Urszula Kozioł odpisała mi (podobnie jak Marek), że utwory są słabe i nie będzie ich drukować. Pozostali wydrukowali, czyli okazali się prawdziwymi polskimi patriotami...

Marek Wawrzekiwicz, ur. 21 lutego 1937 w Warszawie. Poeta, tłumacz (władza kilkoma językami), dziennikarz. Absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Łódzkiego. Pracował m.in. jako redaktor naczelny czasopism literackich „Nowy Wyraz” i „Poezja” oraz tygodnika „Kobieta i Życie”, był attaché kulturalnym ambasady PRL w Moskwie. W swoim dorobku twórczym ma ponad 50 książek. Uhonorowany wieloma nagrodami literackimi. Od roku 2003 prezes Zarządu Głównego ZLP.

Janusz Koniusz

Pierwszy raz o **Januszu Koniuszu** usłyszałem w Technikum Mechanicznym w Świebodzinie na lekcji języka polskiego. Nauczycielka podyktowała uczniom nazwiska znanych lubuskich pisarzy, wśród nich był właśnie Koniusz. A nie miał wtedy jeszcze, jak szybko teraz przeliczyłem, nawet czterdziestu lat. Do tamtego momentu nie wiedziałem kto zacyt. Notabene, czy dziś nie byłoby wskazane, żeby w szkołach na języku polskim mówić o żyjących pisarzach lokalnych, pokazać niekiedy uczniom żywego poetę?

Potem pan Janusz pojawił się na moim widnokregu w latach 70., gdy jako student w redakcji „Nadodrza” poznałem Andrzeja K. Waśkiewicza. Panowie pracowali w jednym pokoju. Z tym że Waśkiewicz był na etacie, a Koniusz chyba na półowce lub ćwiartce, gdyż jego głównym zajęciem w owym czasie było sekretarzowanie w LTK – Lubuskim Towarzystwie Kultury. Do „Nadodrza” wpadał stosunkowo rzadko. Bliżej poznaliśmy się pewnego razu u niego w domu. Tak się złożyło, że studiowałem na roku z jego córką, Donatą, bywało, iż przygotowaliśmy wspólnie referaty. Ponieważ pan Janusz wiedział, że piszę wiersze, w czasie jednej z wizyt zaprosił mnie do rozmowy o moich utworach (akurat coś wydrukowałem w „Nadodrzu”). Tłumaczył, pokazywał, jak można by je zapisać inaczej. Powoływał się wówczas na wrocławskiego krytyka i poetę Tymoteusza Karpowicza, którego nazwał swoim mistrzem. Tym sposobem powoli dowiadywałem się, jak ważnym twórcą dla miasta i województwa jest J. Koniusz.

Najważniejszą, według mnie, społeczną rolą Janusza Koniusza było uczestnictwo w powołaniu do życia w 1961 r. zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Zapisał się w historii jako jeden z sześciu ojców-założycieli ZLP i był ostatnim z tej szóstki, który odszedł na zawsze. Oddział Związku oznaczał ważną dla miasta instytucję, gdyż prowincjonalną Zieloną Górę dźwigał do rangi ważnego - na mapie kraju - centrum kulturalnego. ZLP zaliczał się wtedy do tzw. wyposażenia cywilizacyjnego każdego ośrodka wojewódzkiego, obok filharmonii, teatru, gazety i czasopisma.

cdn.

